

## Wojciech Kudyba

### Kultura śmieci

Potoczne rozumienie terminu *ekologia* kojarzy działania proekologiczne z pracami na rzecz ochrony naturalnego środowiska człowieka. Problem degradacji zasobów wodnych, zanieczyszczenia powietrza i dewastacji krajobrazu jest na tyle poważny, że właśnie od jego rozwiązania wielu uzależnia dziś możliwość przetrwania naszej cywilizacji, a może nawet – życia na ziemi w ogóle. Przesłone terytorium natury nie jest jednak ani jedynym, ani nawet podstawowym środowiskiem człowieka. Gdyby tak było, wciąż bylibyśmy zwierzętami. Naszym podstawowym środowiskiem jest kultura.

Tymczasem – choć istnieją poważne, zakrojone na globalną skalę badania nad zagrożeniami środowiska naturalnego – trudno byłoby znaleźć dla nich analogię w postaci szerszych obserwacji procesów degradacji środowiska kulturowego. Mówi się o konieczności pogłębienia naszej świadomości ekologicznej i o wzmacnianiu dobrych nawyków powstrzymywania się przed zaśmiecaniem naszego bliskiego (i dalekiego) otoczenia. Próby artykulacji troski o otoczenie kulturowe i rozpoznania procesów jego degradacji wciąż jednak nie przedostają się pod światła reflektorów. Nie słyszymy o problemie zaśmiecania kultury. Czyżby nie istniał? Nie tak dawno ktoś nazwał wulgaryzmy śmieciami w języku. I przekonywał, że trwająca właśnie w niektórych szkołach akcja „stop wulgaryzmem” jest młodszą siostrą akcji typu „dzień ziemi” czy „sprzątanie świata”. Podobno nikt mu nie wierzył.

Czy mamy więc przed sobą problem śmieci w kulturze? Naiwnością byłoby zaprzeczać. Coś się zepsuło, coś cuchnie. To słyszać i czuć. Czy także w kulturze literackiej? Raczej tak. To jej nie ominęło. Czy tak musiało się stać? Nie wiem. Chciałbym wiedzieć.

Tymczasem ta kupa rośnie. Kupa rozkładających się słów. Gdyby rośla poza miastem, na obrzeżach rzeczywistości literackiej, nie byłoby w tym

nic dziwnego. Tam mogłaby mieć swoje miejsce. Problem w tym, że ona nam rośnie pod samym nosem. Reklama przynosi nam ją do domu, do pociągu, do śniadania i wmawia, że jest ciekawa, świeża i pożywna. Dlatego rośnie.

Więc jeszcze raz: skąd właściwie się bierze, jakie mechanizmy powodują, że nie ląduje od razu poza zasięgiem naszego wzroku i smaku? A może chodzi raczej o zawodność pewnych mechanizmów? Na przykład mechanizmu selekcji? Na przykład mechanizmu sortowania?

W PRL-u był on niebezpiecznie prosty. Selekcją i hierarchizacją książek i czasopism zajmowała się „Centrala” – mająca do dyspozycji nie tylko całą infrastrukturę związaną z procesami wydawniczymi, ale także urząd cenzorski oraz media. Wniosła opowieść o rozpadzie „Centrali” – po ustawie o rozwiązaniu cenzury i rozpadzie koncernu RSW Prasa. Książka. Ruch – rychło zweryfikowała jednak twarda rzeczywistość rynkowa. Tezy Przemysława Czaplińskiego postawione w książce *Powrót centrali* w 2007 są wciąż aktualne. Dlatego warto je przypomnieć. W ich świetle odkrywamy, że narastający proces zaśmiecania kultury literackiej ma trzy źródła: ekonomiczne, komunikacyjne i społeczne.

Po pierwsze, trudno oczekiwać, by rynek książki sam z siebie generował wzrost jakości literatury. Jeśli celem wydawnictwa staje się wyłącznie duży dochód, rezultat jego polityki wydawniczej łatwo przewidzieć – jego oferta bardzo szybko ulegnie komercjalizacji. Gdy na rynku książki wyraźną dominację osiągną takie właśnie wydawnictwa, nietrudno przewidzieć rezultat: dzięki mechanizmom promocyjnym zasypią one półki księgarń literacką „chińszczyzną”, dzięki czemu nawet lekko wykształcony odbiorca uzyska kolejny argument na rzecz tezy, że naprawdę nie oferuje mu się niczego, co warto wziąć do ręki. Dane statystyczne, które podaje Czapliński, muszą zastanawiać: rynek książki został u nas zdominowany przez edytorów, którzy nieszczęśliwie są zainteresowani wydawaniem tak zwanej literatury pięknej, ani tym bardziej – ambitnej. Ci zaś, którzy wydają polską literaturę współczesną, znajdują się poza pierwszą pięćdziesiątką najbardziej zamożnych i prężnych firm wydawniczych. Duże wydawnictwa, które stać na uruchomienie maszyny promocyjnej, niechętnie biorą pod uwagę artystyczną wartość propozycji, bardziej ufając tak zwanej wartości marketingowej nazwiska autora – choćby ten był marnym pisarzem. Małe zaś niksują w niszy, nie stać je bowiem ani na podpisanie długoterminowych umów z hurtowniami książek, ani na reklamę. Jak zauważa Czapliński, efektem tego zjawiska jest standaryzacja oferty księgarskiej, a także gustów czytelników. Ci bowiem

wciąż (naiwnie) ufają, że hierarchia wydawnictw odzwierciedla hierarchię wartości ich publikacji.

Przed zaśmiecaniem kultury literackiej niektóre kraje bronią się za pomocą silnego mecenatu państwowego, wspierającego wydawanie i promowanie dzieł najbardziej wartościowych. Tymczasem jednak u nas partycypacja państwa w promowaniu niekomercyjnych wydawnictw, pism literackich, a wreszcie i bibliotek systematycznie spada. Choć poziom życia – chcielibyśmy w to wierzyć – systematycznie wzrasta, nakłady na kulturę literacką wciąż maleją. Stąd coraz mniej czasopism literackich, spotkań autorskich, bibliotek, stąd coraz więcej białych plam na mapie rynku księgarskiego, coraz więcej miejsc, do których książka dociera jedynie dzięki internetowi. Pewną nadzieję na powstrzymanie procesu komercjalizacji literatury budziły media. Jak pokazuje Czaplinski, ich rola w budowaniu pluralistycznej oferty czytelniczej jest jednak co najmniej dwuznaczna. Począwszy od połowy lat 90. następuje bowiem u nas nie tylko wyraźna i narastająca redukcja obecności literatury w środkach masowego przekazu, ale także proces jej zawłaszczenia przez media, podporządkowania jej języka medialnym narracjom. Procesy upodrzędniającej instrumentalizacji dotyczą także krytyków literackich. Ci często bywają włączani w rolę twórcy reklamy książki lub – w najlepszym razie – w rolę jurora nagrody literackiej fundowanej przez koncern medialny. Sama książka zaś ulega sformatowaniu – przedostaje się przez medialne sito jedynie wtedy, gdy powieli obraz świata preferowany przez ten lub inny środek masowego przekazu. Łatwo przewidzieć rezultat działania podobnego filtru – jego wpływ na postawy krytyków, jurorów, a wreszcie i autorów. Czaplinski wspomina o procesie rozbudzania przez politykę i media tak zwanej mentalności monoideowej. Wypada dodać, że jej rezultatem bywa łatwe uruchamianie nie tylko rozmaitych form ideologizacji literatury, ale także procesów tabuizacji, stereotypizacji czy też stigmatyzacji niewygodnych sfer rzeczywistości (także wtedy, gdy są to sfery zamieszkiwane przez ludzi). Właśnie dlatego brakuje dziś dyskusji o literaturze. Właśnie dlatego brakuje kultury dialogu.

Stan zaśmiecenia kultury literackiej utrwała się także dzięki procesom coraz większej marginalizacji literatury w obszarze życia społecznego. Zatrważająco niskie wskaźniki czytelnictwa w Polsce coś mówią o nas samych – o naszym przekonaniu co do tego, że literatura ma jakąś wartość. Powszechna dziś u nas niechęć do lektury nie ma swych przyczyn ani w zmęczeniu (wciąż istnieje problem zagospodarowania wolnego czasu), ani w braku wykształcenia (procent nieczytających magistrów

jest taki sam jak nieczytających gimnazjalistów), ani nawet w cenie książek (oferta jest bowiem zróżnicowana). Wydaje się raczej uwarunkowana prostym przekonaniem, że współczesna literatura nie ma nam niczego ciekawego do powiedzenia, w żaden sposób nie dotyka naszego życia, nie oferuje niczego, co mogłoby nas obchodzić. Czy jest to przekonanie sprawiedliwe, to oczywiście osobny problem. Ale pytanie jest ważne: czy rzeczywiście literatura współczesna jest w stanie wygenerować język, który ma szansę wejść w obieg społeczny?

Jeśli coraz częściej mamy wrażenie, że kultura, która nas otacza, coraz bardziej przypomina śmietnik, to nasza zazdrość wobec ruchów na rzecz ochrony przyrody wydaje się uzasadniona. Brakuje społecznego ruchu na rzecz ochrony kultury. Czy kiedyś powstanie? – Zobaczymy. Tymczasem pozostaje praca u podstaw. Niemal niewidoczna, niemogąca liczyć na rozgłos – przeoczona przez dziennikarzy, lekceważona przez akademików. Wciąż istnieją, a nawet rosną w siłę, czasopisma, których nie ma w książce Czaplińskiego; książki, które nie trafiają na listy bestsellerów; nagrody literackie, które nie mogą liczyć na zgiełk mediów. Wciąż znajdują sobie zajęcie długodystansowcy, którzy nie przejmują się ani presją rynku, ani fobiami mediów, ani doraźnymi modami, jakby byli przekonani, że istnieją wartości, które są ponad rynkiem i ponad komercyjnym sukcesem. Takich maratończyków jest całkiem sporo. Tworzą coś w rodzaju nowego »drugiego obiegu« literatury współczesnej. Pracują w rozproszeniu, ale procesy komunikacji między nimi są nieuchronne. Z czasem będą budowali wokół siebie środowiska, małe wspólnoty, a może nawet sieć małych wspólnot, bo chodzenie pod prąd, wbrew »duchowi czasów« zawsze jest wspólnototwórcze. Inaczej mówiąc, będą tworzyli alternatywną kulturę literacką – osadzoną nie tylko w innych instytucjach, ale i w innym zestawie wartości niż ten, który proponuje kultura śmieci – obszary, w których będzie się oddychało trochę innym powietrzem. Być może z czasem tych obszarów będzie coraz więcej. Być może ludzie coraz częściej będą chcieli je odwiedzać.

Niektórzy uważają, że można przetrwać wyłącznie wtedy, gdy poddamy się regułom powracającej »Centrali«. Tak źle chyba jednak jeszcze nie jest. Wciąż mamy jakiś wybór.